

Teksty Drugie 1999, 3, s. 4-6



Melancholia

Anna Nasiłowska

Melancholia

Czym jest melancholia? Czarnym słońcem. Lodowatą nieskończonością. Oksymoronem. Samo hasło prowokuje bardziej do szukania pięknych metafor niż do formułowania precyzyjnej definicji, ma bowiem pewną moc poetycką, syrenią moc uwodzenia. Obiecuje ciemny spokój i zapatrzenie w siebie. Można by powiedzieć, że „ja” melancholika zostaje wyposażone w system wewnętrznych luster, przy czym zajmują one całą przestrzeń wewnętrzną, odbijając się wzajemnie pod różnym kątem. Te, które znajdują się naprzeciw siebie, odbijają pustą nieskończoność. To taki wewnętrzny labirynt, pełen rozstajnych dróg. Kto weń wkroczy – nieprędko się wydostanie, trzyma go w mocy wrażenie, że w ten sposób dociera głębiej, nie poddaje się iluzji, gdyż wszystko jest czarne. Inne metafory wypisuję z wydanego w zeszłym roku eseju Marka Bieńczyka O tych, co nigdy nie odnajdą straty. Melancholia: „otwarty dziób tabędzia nad wyschtą wodą – pragnieniem”. Fernando Pessoa określał ją jako „nic, które boli”, a Zygmunt Krasiniński ukutł na nią wiele określeń, wśród których „odpadanie życia kawałami” i „złuszczenie się życia” wydają się najbardziej złowrogie, a więc i przekonujące.

W książce Bieńczyka odnaleźć można obraz melancholii jako podstawowego odczucia egzystencjalnego. Ma ona swoich klasyków: Dürera, Kierkegarda, Benjamina, Sartre’a, towarzyszą jej alegorie, a w postaci pisanej rozpoznać ją łatwo, gdyż istnieje szczególnie „pismo melancholijne” (czyli: écriture mélancolique), choć trudno byłoby precyzyjnie wyliczyć jego cechy. Domyślić się można – choć to jedynie interpretacja – że chodzi przede wszystkim o szczególną niechęć do posuwania się do przodu, wewnętrzny opór przeciw linearności dzieła. Sprawia to, że prozę melancholijną czytać można właściwie w dowolnym układzie, rozsypując i składając fragmenty. Zawsze wyjdzie na jedno, gdyż z melancholii nie ma wyjścia.

A więc melancholia byłaby wieczna i absolutna? U Bieńczyka, który sam daje przykłady szczególnego „pisma”, trudno znaleźć coś innego niż potwierdzenie (a raczej – wielokrotne potwierdzenie) tezy o jej powszechności, gdyż jego esej nastawiony jest na melancholiczny „obieg wewnętrzny”. Uniwersalność i ponadczasowość melancholii nie wyklucza jednak istnienia szczególnych powodów do odczuwania jej właśnie teraz. Wśród cytatów i zapożyczeń, będących kolejnym objawem typowej „ciemnej” duchowości, pojawia się powtórzona za Walterem Lepenies myśl o „końcu utopii i powrocie melancholii”. Gunter Grass uważał Melancholię i Utopię za rewers i awers tej samej monety. A więc – idąc dalej – jeśli nie chcemy Utopii, z jej totalitarnymi konsekwencjami, musimy poddać się wiecznemu procesowi „złuszczenia życia”.

Nie da się ukryć: melancholia to temat na czasie. Najpoważniejszym polskim współczesnym poetą melancholijnym jest od dawna, od wewnętrznego przelomu, jakim była jego książka Solidarność i samotność, Adam Zagajewski. Między zaangażowaniem a melancholią – tak można by sparafrazować tytułową parę przeciwieństw. Już w 1983 roku, zastanawiając się, co by się stało, gdyby nagle Polska odzyskała swobodę życia politycznego, postawił on takie pytanie: „Czy poezja stałaby się – tak jak to się dzieje w krajach szczęśliwych – pokarmem znudzonej garstki znawców, a kino jedną z gałęzi skomercjalizowanej rozrywki?”. Perspektywa ta wydawała się tak nierealna, że uwagi poety uszła pewna nielogiczność w zacytowanym zdaniu. Szczególnie to szczęście, jeśli objawia się duchową depresją i stopniem wrażliwości!

Poeta dixit, spełniło się. Melancholia dojrzeła. Jest u Zagajewskiego „radość minionej chwili”, która zmienia się w „czarny kaptur z otworami / na oczy, usta, język i ząb”. I dużo kontemplacji piękna.

Cóż bardziej typowego niż melancholia u intelektualisty, który zdał sobie sprawę z zakończenia swojej misji i został artystą lub prywatnym myślicielem? Nie sposób już dłużej nawracać społeczeństwa na demokrację. Intelektualista wychowany pod naszą szerokością geograficzną i tak znajduje się w dość szczęśliwej sytuacji, że mógł w ogóle ową misję podjąć, choć z drugiej strony jej utrata tym bardziej boli, gdyż sprawia wrażenie nagłego pozbawienia twardego gruntu. Pamiętam tu o książce La mélancolie démocratique z 1990 roku, napisanej przez Pascala Brucknera (na podstawie jego opowiadania Polański nakręcił film Gorzkie gody). Melancholia jako typowy stan ducha wydaje się francuskiemu autorowi prostą pochodną wolności, globalizacji, pokoju, dobrobytu a przy tym braku nadziei, że którakolwiek z owych wartości nie podlegałaby inflacji przez jej nieabsolutność i wewnętrzną erozję. Z uwagą wstuchuje się on w czarowny dźwięk zapożyczanego z rosyjskiego słowa „inteligensja” i tłumaczy samą ideę klasy myślącej, bardzo odległą od ról, jakie spełnić może francuski intelektualista. Brak wroga, brak despoty – Bruckner pisał to świeżo po rozpadzie ZSRR – nie wyzwała euforii, lecz niemoc, gdyż sprawia, że teza Fukuyamy o końcu historii wydaje się bliska urzeczywistnienia. Jeśli niemożliwy jest postęp, to historia zaczyna przypominać pismo melancholijne, nie posuwa się „do przodu”, jedynie meandruje, tworzy obroty. Czy demokracja może wydawać się czymś więcej niż formą rządu do zaakceptowania jedynie dlatego, że nie wymyślono lepszej? – pytał Bruckner.

Zbiorowy entuzjazm wydaje się stanem nie do odzyskania, pozostaje powszechna, melancholijna samotność, w poczuciu straty, która co prawda jest zyskiem, tyle że

połowicznym i nie przysparzającym chwały. Takie oto widmo od dawna krąży nad Europą: skoro komunizm upadł – czeka nas powszechne społeczeństwo melancholików.

Otoż teza ta, choć wygląda atrakcyjnie, a nawet – jest mocno ugruntowana i opowiada się za nią niejeden autorytet dobrze brzmiącego nazwiska, wydaje mi się bardzo bałamutna. Jeśli Pani Melancholia jest jednym z podstawowych składników imaginarium kultury europejskiej, to jej przeciwieństwa nie należy upatrywać w Utopii, lecz w Arkadii. To jest właściwa druga strona monety, która obraca się rzadko i nie dla igraszki. Utopia jest wizją społeczną, zestawianie jej z melancholią tworzy parę niewspółmierną i ukrywa w sobie rodzaj politycznego szantażu. Nie pożądasz utopii? więc przygotuj się na żalobę... To fałszywy wybór.

Oto para: Arcadia et Acedia (zwana także: tristitia lub taedium vitae). Pani Radosna i Pani Żaloszna nie biorą odpowiedzialności za społeczeństwo, nie interesuje ich cały świat. Należą do mitologii kameralnych, prywatnych, odnoszących się do świata wewnętrznego. Od czasów Romantyzmu nie ma między nimi równowagi, wizja arkadyjska została przytłumiona. Możliwość zarysowania prywatnego rajy wydaje się tak trudno dostępna, że tych, którzy dziwnym trafem zostali zaszczerpieni przeciwko urokom czarnego słońca, dręczy pewien kompleks niedorastania, braku wewnętrznego lustra, które potrzebne jest, by poprzez ból tym mocniej poczuć swoje „ja”.

Anna Nasilowska